



O Narodowe Uniwersytety Badawcze

KRZYSZTOF PAWŁOWSKI

Profesor Jan Cieśliński w **285** nr. „PAUzy Akademickiej” opublikował tekst o niszczycielskim wręcz działaniu obecnego algorytmu, określającego coroczną wysokość dotacji z budżetu państwa dla uczelni publicznych. Trafnie wskazuje, że algorytm wpływa na obniżenie jakości kształcenia, utrudnia mobilność kadry i zmusza uczelnie do przyjmowania jak największej liczby studentów.

W nr. **274** „PAUzy” profesor Maciej Żylicz postuluje przekształcenie części polskich uniwersytetów w uniwersytety badawcze. Uniwersytet badawczy, zdaniem profesora Żylicza, to miejsce, „w którym studenci, dzięki temu, że uczestniczą w badaniach naukowych, prowadzonych na najwyższym poziomie, zyskają zasoby i kompetencje pozwalające im w przyszłości tworzyć elitę intelektualną naszego kraju”.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na cztery aspekty naszej polskiej rzeczywistości:

- mało skuteczny styk polskiej nauki z otoczeniem, w tym z gospodarką, co powoduje zmarnowanie wielu wartościowych rezultatów badań naukowych;
- bardzo niską innowacyjność zarówno całej Polski, jak i większości polskich przedsiębiorstw;
- wyczerpywanie się skuteczności dotychczasowych mechanizmów rozwojowych gospodarki;
- częste wyjazdy uzdolnionych młodych Polaków na zagraniczne studia oraz młodych polskich naukowców do pracy w czołowych uniwersytetach zagranicznych.

Jestem głęboko przekonany, że podstawowe blokady rozwojowe tkwią w obecnym systemie szkolnictwa wyższego i nauki oraz że zrzucanie winy na niski poziom finansowania jest złą metodą szukania przyczyn poza naszym środowiskiem.

Chciałbym dodać do propozycji profesora Żylicza i profesora Cieślińskiego moją bardzo kontrowersyjną propozycję szybkiego przekształcenia UJ i UW w Narodowe Uniwersytety Badawcze (NUB). Uważam, że pozwoliłoby to uruchomić w sposób znaczący potencjał istniejący w Polsce, tylko nie w pełni wykorzystywany.

Ograniczenia tekstowe zmuszają mnie do przedstawienia jedynie najważniejszych tez mojej propozycji:

1. Skoncentrowanie w UJ i UW możliwie dużego potencjału naukowego poprzez włączenie do nich najlepszych instytutów PAN oraz innych czołowych instytutów badawczych, mających siedziby w Warszawie i Krakowie;
2. Włączenie do UW (wzorem UJ) Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, a może także połączenie z UJ i UW innych wybranych uczelni, znajdujących się w tych miastach;
3. Wyraźne zmniejszenie liczby studentów na obu uniwersytetach (co najmniej o połowę) poprzez rezygnację przez NUB-y z prowadzenia niestacjonarnych studiów licencjackich oraz ograniczenie liczby studentów przyjmowanych na stacjonarne studia licencjackie, wyraźne skoncentrowanie uwagi na wysokim poziomie kształcenia na studiach magisterskich, doktoranckich i przywrócenie relacji mistrz–uczeń na tych studiach;
4. Uruchomienie w obu NUB-ach i na wybranych najlepszych wydziałach innych uczelni systemu elitarnych, wyłącznie stacjonarnych studiów doktoranckich dla najzdolniejszych absolwentów studiów magisterskich (wspartych bardzo wysokimi stypendiami), pozwalających im rozwijać swoje uzdolnienia w Polsce;
5. Zapewnienie poprzez ustawy (a może także zapis konstytucyjny) specjalnego, wyraźnie wyższego w stosunku do pozostałych uczelni publicznych, systemu finansowania dla obu Narodowych Uniwersytetów Badawczych; ►

- ▶ 6. Utworzenie z środków publicznych specjalnego funduszu „żelaznego” dla obu NUB-ów w wysokości np. jednorocznego budżetu danej uczelni po przekształceniach, będącego w wyłącznej dyspozycji władz uczelni;
- 7. Zwiększenie skuteczności działania jednoosobowych organów uczelni (wybieranych w trybie konkursowym) kosztem uprawnień organów kolegialnych;
- 8. Tak zarysowany system organizacji, finansowania i zarządzania spowodowałby bardzo szybki efekt koncentracji najlepszych polskich zasobów, tj. nauczycieli akademickich oraz studentów, na obu uniwersytetach narodowych, przyniosłby pożądane rezultaty badawcze, a efektem ubocznym stałby się wyraźny awans obu uniwersytetów w rankingach międzynarodowych.

Oczywiście nie można utworzyć dwóch NUB-ów bez głębokiej zmiany całego systemu szkolnictwa wyższego i systemu badań naukowych, które uruchomiłyby pozytywne zmiany na wszystkich uczelniach.

Przedstawienie pełnej mojej propozycji zmian systemu szkolnictwa wyższego zajęłoby zapewne objętość całej „PAUzy”, więc przytoczę tylko niektóre argumenty na rzecz utworzenia NUB-ów:

- proszę przeanalizować liczbę i strukturę studentów studiujących na czołowych amerykańskich uniwersytetach, np. w Stanford University, Harvard University, Princeton University, California Institute of Technology;
- proszę przejrzeć liczbę grantów przyznawanych przez Narodowe Centrum Nauki i bardzo wyraźną przewagę liczby grantów uzyskiwanych przez naukowców z UJ i UW;
- proszę przejrzeć ministerialny wykaz jednostek naukowych, w tym wydziałów uczelni, które uzyskały najwyższe kategorie naukowe i związaną z tym punktacją. Ja wziąłem pod uwagę 18 dziedzin nauki i widać przewagę instytutów PAN, ale i znaczący udział wydziałów UJ i UW;
- w czterech państwach skandynawskich działa aż 7 uniwersytetów, które znajdują się w pierwszej setce rankingu szanghajskiego (skumulowana ludność tych czterech państw jest mniejsza od ludności Polski, a skandynawskie PKB w 2012 roku było ok. 20% wyższe od polskiego, a więc trudno nie mówić o przepaści).

Argumenty na rzecz zmiany można by długo przytaczać, jednak im dłużej obserwuję nasze środowisko (już ponad 25 lat), tym bardziej jestem przekonany, iż dominuje postawa, że obecny system jest najlepszy, bo zapewnia błogi spokój, chociaż przy skromnych dochodach.

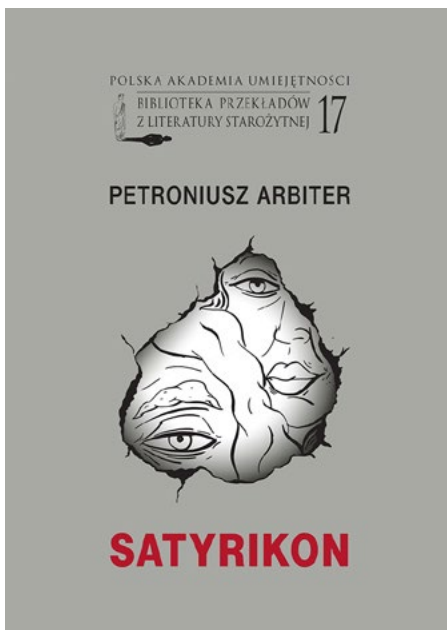
Dodatkowym czynnikiem utrudniającym dokonanie prawdziwych i skutecznych reform systemu szkolnictwa wyższego i badań naukowych jest strach polskiej klasy politycznej przed niezbędnymi reformami, gdyż boi się ona reakcji środowiska akademickiego.

Patrząc jednak z perspektywy interesu narodowego i możliwości wszechstronnego rozwoju Polski, to nie interes naszego środowiska jest najważniejszy, tylko zbudowanie systemu, który pozwoliłby wykorzystać nasze środowisko oraz działające instytucje szkolnictwa wyższego i badań naukowych jako narzędzie do efektywnego rozwoju Polski.

KRZYSZTOF PAWŁOWSKI

były rektor
Wyższej Szkoły Biznesu – National-Louis University

Wydawnictwo PAU poleca...



cena det. 35 zł
w sprzedaży od 15 maja 2015

Petroniusz Arbiter, *Satyrikon*, wyd. 2, przekład Leszek Wysocki, ilustracje Bartłomiej Chwilczyński

(...) Podstawowym imperatywem przy tłumaczeniu *Satyrikonu* jest to, by jak najprecyzyjniej, ale też jak najnaturalniej oddać wszelkie zastosowane przez Petroniusza rejestry językowe, a po drugie – aby różnorodność owych rejestrów była dla współczesnego czytelnika absolutnie klarowna, a więc aby zawarta w oryginalu kpina była też kpina w polszczyźnie, obelga – obelgą, porzekadło – porzekadłem, namaszczone sentencja – namaszczone sentencją itd. Wyważaniem otwartych drzwi jest rzecz jasna stwierdzenie, że efektu takiego nie da się osiągnąć poprzez przekład dosłowny, gdyż ideą naczelną poprawnego tłumaczenia nie jest przekładanie na inny język pojedynczych słów, tylko złożonych z owych słów konstrukcji syntaktycznych, tak jak przetwarzanie zapisu nutowego na utwór muzyczny nie polega na wybębnieniu na klawiszach, czy wybrząkaniu na strunach po kolei poszczególnych dźwięków, tylko na skomponowaniu ich w odpowiednio brzmiącą melodyjną całość.

(...) Porównanie z utworem muzycznym jest w przypadku *Satyrikonu* tym bardziej adekwatne, że niezwykle ważnym elementem tekstu oryginalnego jest jego wspaniała rytmika. Dlatego też przedmiotem troski tłumacza winno tu być nie tylko poszukiwanie właściwej ekwiwalencji znaczeniowej i emocjonalnej, ale też dbałość, by w tłumaczeniu tekst pulsował podobnym, choć niekoniecznie identycznym rytmem, co oryginał. Pozostając w tej muzycznej metaforze dodajmy, że przy tym wszystkim niezbędne jest, aby w linii melodycznej przekładu pośród wszystkich innych tonów bardzo wyraziście pobrzmiwała najcharakterystyczniejsza dla Petroniusza nuta, nuta przewrotnego cieniutkiego humoru. Utwór ten ma bowiem nie tylko dostarczyć miłych doznań estetycznych, ale także, a może głównie – po prostu bawić. (...)

Leszek Wysocki, *Ze Wstępu*

Paszkwil przeciw naukometrii

Dyskusja o naukometrii trwa i trwać będzie tak długo, póki nie przyjęte zostanie coś zdecydowanie sensowniejszego. Dotychczas wypowiadali się głównie dużej rangi uczeni, teraz odzywa się ktoś, kto w swojej dziedzinie jest dość daleko za światową czołówką. Dodam jednak, że z tyłu często więcej widać. Z tej perspektywy obraz rysowany jest ostrą kreską i może wyglądać na paszkwil. I dobrze.

Najbardziej zdumiewającą w naukometrii rzeczą jest, że zdeklarowani jej zwolennicy, głosząc jej obiektywność, udają, że nie widzą, iż tym samym oceniają wszystkich pozostałych naukowców niżej od bakterii chorobotwórczych. Mikroby te, w obliczu śmiertelnego zagrożenia, jakim jest powszechne stosowanie antybiotyków, zareagowały przyspieszonymi mutacjami, w wyniku czego mamy coraz więcej lekoodpornych szczepów i bakterie zdają się ten wyścig wygrywać, czego skutki będą bolesne. Natomiast wyznawcy naukometrii sugerują, że naukowcy, poddawani już od paru dziesięcioleci bezlitosnej selekcji na naukowej rampie, pozostają wobec niej bierni i pracują tak, jak ponad pół wieku temu: publikują wtedy, gdy mają coś wartościowego do ogłoszenia i cytują tylko te prace, które są istotne dla ich własnych wyników – zatem cytowane są te prace, które rzeczywiście poszerzają naszą wiedzę. Tak dobrze (źle?) jednak nie jest i środowisko wytworzyło mechanizmy obronne. Pospolitym zjawiskiem jest spontaniczne tworzenie „spółdzielni”: ja cytuję ciebie, ty cytujesz mnie i obaj nie cytujemy tych, którzy nas nie cytują. Liczba cytowanych prac w typowym artykule naukowym jest absurdalnie duża i każe wątpić, czy jego autor je przeczytał, a przynajmniej czy wie, co faktycznie zawierają; gdy porówna się treść takiego artykułu z cytowanymi pracami, to okazuje się, że duża część (większość?) tych odwołań jest zbyteczna. To nie są wskazania tych faktów naukowych, których autor potrzebował w swoich badaniach, on po prostu podaje listę badaczy działających w jego dziedzinie. W ten sposób wstępuje się i działa w „spółdzielni”: wiem, że pracujesz w tej samej co ja dziedzinie, doceniam to, daję temu publicznie wyraz i oczekuję tego samego z twojej strony. Idea i sens cytowania cudzych wyników zostają tu fundamentalnie podważone.

Mamy więc samonapędzający się mechanizm. Redakcje czasopism naukowych są przez ich właścicieli rozliczane z tego, ile cytowań mają opublikowane w nich artykuły. Jeżeli w swoim artykule zacytuję (niepotrzebnie) 50 autorów, którzy w ostatnich pięciu latach zajmowali się zbliżonymi zagadnieniami, to jest duża szansa, że połowa z nich zrewanżuje mi się tym samym; zyskam nie tylko ja, zyska też czasopismo, któremu zwiększę IF (*impact factor*). Psuje to oczywiście innowacyjność i oryginalność badań. Wiemy, że postęp w nauce w dużym stopniu zachodzi dzięki tworzeniu nowych, coraz potężniejszych technik badawczych. Załóżmy, iż zauważyłem, że dzięki najnowszym metodom badawczym pewien problem, ważny i intensywnie badany trzydzieści lat temu, który został wtedy uznany za nierozwiązywalny i zarzucony, obecnie da się ruszyć. Jeżeli zauważę to i zrobię jako pierwszy, to będę

mógł zacytować tylko autorów sprzed kilkudziesięciu lat. Niesolidny lub niezbyt kompetentny recenzent (tacy też są), zobaczywszy, że poza mną nikt się obecnie tym nie zajmuje, może uznać temat za marginalny i bezwartościowy i odrzucić go niemal bez czytania. Najbezpieczniej jest więc zajmować się „tym co wszyscy” i robić to „jak wszyscy”. Zilustruję to efektywnym porównaniem. Gdyby do dziś teoria względności nie była znana i gdyby dziś objawił się młody Einstein i podał swój pomysł w takiej formie, w jakiej faktycznie ogłosił go w 1905 roku, to artykuł zostałby prawdopodobnie odrzucony, bo Einstein nikogo nie zacytował. Ignorant!

Drugą iluzją, uporczywie podtrzymywaną, jest pogląd, że naukometria, przy wszystkich swoich wadach, spełnia swoje zadanie nadawania wybitnym uczonym certyfikatu wybitności (bez niego mogą o nich wiedzieć tylko nieliczni eksperci), dyscyplinowania przeciętnych naukowców i piętnowania słabych. Tak jest jednak tylko w bardzo ograniczonym zakresie. Sprytny i obrotny „spółdzielca”, jeżeli nie ma nadmiernych ambicji, które mogą mu zaszkodzić, jest w stanie prosperować aż do emerytury i otrzymać wszystkie zaszczyty. Natomiast najlepszym uczonym system ten wcale nie służy. Z historii nauki wiadomo, że zdecydowana większość naprawdę wielkich uczonych dokonała tylko jednego doniosłego odkrycia i jeżeli nawet przez całe długie życie zajmowali się nauką (co w przeszłości nie było wcale częste), ich cała działalność pozostawała w cieniu tego jednego osiągnięcia; każdy zna wiele takich przykładów. Natomiast naukometria oparta na cytowalności wymaga od tych ludzi, by stale byli na szczycie, by co roku publikowali doniosłe wyniki. Tymczasem wielki uczony ma „iskrę bożą” i nią wiedziony podejmuje się problemów ambitnych i trudnych, których – całkiem rozsądnie – nie tykają się mniej uzdolnieni. Ale problemy te są „przedsięwzięciami podwyższonego ryzyka” i z faktu, że uczony jest wybitny, bo rozwiązał jeden taki problem, wcale nie wynika, że poradzi sobie z następnym. Jeżeli sukces nie przychodzi w ciągu kilku lat, to w świetle naukometrii taki uczony spada na dół. Dzisiaj nawet wybitny uczony musi zatem stale biec w wyścigu szczurów i co więcej, musi biec na przód; inaczej przestanie się liczyć. W praktyce oznacza to, że powinien zajmować się tym, co większość. Nie musi zresztą mieć wyników znacząco lepszych niż większość, bo znane nazwisko zapewni mu cytowalność. Swoje rzeczywiste zainteresowania i pomysły winien natomiast odłożyć na bok, bo to zbyt ryzykowne. Przez ostatnie dwadzieścia lat życia Einstein wielokrotnie słyszał, że jego pomysły są niezgodne z tym, czym zajmują się inni fizycy. Odpowiadał, że zasłużył sobie na prawo do błędu. Dzisiaj żaden uczony nie odważyłby się tego głośno powiedzieć.

Pozostaje jedna kwestia. W tym co napisałem, nie ma niczego nowego i oryginalnego – to są rzeczy powszechnie znane. Dłaczego zatem chyba nikt wcześniej tego nie powiedział? Zapewne dlatego, że ludzie boją się być oskarżeni o „kalanie własnego gniazda”. Występuję więc w roli niewinnego dziecięcia wołającego: – „Król jest nagi”.

LESZEK M. SOKOŁOWSKI

Obserwatorium Astronomiczne
Uniwersytetu Jagiellońskiego

ERC Starting Grants

W 293 numerze „PAUzy Akademickiej” w felietonie „Fetysz mobilności” podważona została opinia, że „brak mobilności jest nieszczęściem polskiej nauki”. Autor felietonu za brak mobilności traktuje powrót ze stażu podoktorskiego do macierzystej grupy. Jest to jedynie ograniczenie mobilności. Jak rozumiem, Autor felietonu – podobnie jak piszący te słowa – uważa, że brak mobilności jest nieszczęściem nauki w Polsce.

Nauka w Polsce to obszar duży i zapewne od każdej reguły jego funkcjonowania mogą znaleźć się wyjątki, które podważają zasadność tej reguły. Tym niemniej mocno wierzę, że nawet ograniczona mobilność może być niekorzystna dla nauki w Polsce. Chciałbym przywołać jeden argument: granty Europejskiej Rady Nauki (ERN – wg angielskiej nazwy ERC) to nie tylko szansa zdobycia znaczących funduszy na badania, ale również nadają one niekwestionowany prestiż instytucjom naukowym, w których realizują je laureaci i są ogólnie akceptowanym wskaźnikiem poziomu doskonałości nauki danego kraju.

Uprawnione o występowanie o granty ERN dla młodych badaczek i badaczy (*Starting Grants, StG*) są osoby, co najwyżej 7 lat od uzyskania stopnia doktora. Realne szanse na uzyskanie StG mają osoby, które nie tylko przedstawiły atrakcyjny program naukowy, lecz są też wiarygodne pod względem doskonałości naukowej. To znaczy, mają w dorobku naukowym dwa, trzy osiągnięcia. Jeśli chodzi o nauki przyrodnicze są to zwykle pierwszoautorskie publikacje w najbardziej prestiżowych pismach naukowych. W humanistyce i naukach społecznych to anglojęzyczna monografia lub publikacja.

Prześledźmy typowy „profil” laureatów StG ERN: ukończenie doktoratu (*graduate studies*) w dobrej grupie i opanowanie warsztatu, który młodą osobę czyni atrakcyjną dla najlepszych grup badawczych na świecie. Staż w takiej czołowej grupie (zwykle rozpoczynany 1 rok od doktoratu) i po około 3 latach stażu, posiadanie w swoim dorobku jednej, dwóch wybitnych publikacji (4 lata po doktoracie). Powrót do kraju i po ok. 2 latach (6 lat po doktoracie) opublikowanie świetnej pracy z bezspornie wiodącym i samodzielnym udziałem danej osoby. Obecność na liście współautorów tej pracy promotora doktoratu dyskwalifikuje wystąpienie o grant StG, bowiem kryterium osiągnięcia samodzielności naukowej nie zostało spełnione. Na opracowanie wystąpienia o StG ERN zostaje więc 1 rok. A zwykle dostaje się ten grant za drugim razem.

Typowy laureat StG ERN musi być nie tylko utalentowany i umotywowany, ale też mieć wielkie szczęście: trafił na studia doktorskie do dobrej grupy badawczej, zaraz po doktoracie do jeszcze lepszej grupy, w której opublikował jedną, dwie znaczące publikacje. Wreszcie po powrocie ze stażu zdążył opublikować co najmniej jedną samodzielną, wybitną publikację. Powie ktoś, to jest wręcz niemożliwe. Ale 2331 młodym osobom to się udało. W Polsce jedynie 11, co smuci zestawiając dane z innych krajów: 19 Węgry, 98 Belgia, 192 Holandia, nie mówiąc już o liderach: 371 Francja, 323 Niemcy, 503 Wielka Brytania.

Zazwyczaj, gdy osoba wraca ze stażu podoktorskiego do swojej macierzystej grupy, były promotor jest wśród współautorów tej pierwszej po powrocie wybitnej pracy. To naturalne.

JERZY DUSZYŃSKI

Dziękuję

Serdecznie dziękuję za powyższe uwagi, które uświadomiły mi jak bardzo organizacja badań naukowych – przynajmniej w niektórych dziedzinach – trwa w pętach formalizmu. Podtrzymując równocześnie tradycyjne, niemal feudalne stosunki. Jako już dość zaawansowany emeryt, nie przypuszczałem, że sytuacja wygląda aż tak źle.

Nie wiedziałem więc, że ciągle istnieje zwyczaj, iż kierownik zespołu podpisuje pracę, której sam nie wykonał, a nawet nie był inicjatorem. Byłem przekonany, że ta tradycja została już wystarczająco skrytykowana, a nawet uznana za niezgodną z tzw. kodeksem dobrych praktyk. Jak widać niektóre złe zwyczaje mają twardy żywot.

Smuci mnie również, że tak poważna instytucja jak ERC kurczowo trzyma się kryteriów formalnych przy przyznawaniu grantów młodym ludziom. Ucząc ich – powiedziałbym: już w kołysce – że ważniejszy jest pozór niż meritum.

W tej sytuacji muszę przyznać rację Panu Profesorowi: wykazałem wielką naiwność. Po prostu nie potrafiłem wyobrazić sobie powrotu wybitnego młodego człowieka do grupy, w której szef automatycznie firmuje wszystkie wyniki. Na usprawiedliwienie mogę dodać, że nawet wyniki, które były podstawą mojego doktoratu, publikowałem wyłącznie pod swoim nazwiskiem. I ani mojemu promotorowi, ani mnie nie przyszło do głowy, żeby mogło być inaczej.

ABBA

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrzumiński, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.